



No i co Pan na to, Panie Jerome Bruner?

Ewa Arciszewska

Pisałam kiedyś: *Rodzice nie znają się na przyrodzie, ja się nie znam na przyrodzie. Uczę się, uczę się od dzieci i razem z nimi!*¹

Oczywiście to była prawda, choć może nieco przerysowałam powyższe zdanie pragnąc wzbogacić konkluzję tekstu-opowiadania. Wtedy inspiracją dla mnie były naukowo-filozoficzne dociekania pięcio- i sześciolatków. Syn mój był zaledwie odrobinę starszy od tamtych dzieci, ale jego wypowiedzi i sposób rozumowania znalazły również odzwierciedlenie w tamtym artykule. I zdawało się, że się przy dzieciach rzeczywiście wiele nauczyłam, że radzę sobie już i wyprzedzam nieco to dziecięce myślenie. Aż do pewnego przedwiosennego dnia...

Początek marca, świeci słońce. Miły ranek, środek tygodnia. Wyjątkowo, cała rodzina jeszcze w domu, zbieramy się do wyjścia. Synek Adam, dziewięć i pół roku, biegnie do pokoju, sprawdza temperaturę na zaokiennym termometrze. Okazuje się, że wskazuje on dwadzieścia stopni w słońcu. Natychmiast mąż koryguje to spostrzeżenie syna, *w cieniu jest zaledwie pięć stopni*. Dla nas dorosłych wszystko jest jasne, dla Adasia niezupełnie, a właściwie kompletnie niezrozumiałe. Słyszymy: *Zobacz mamo, ja będę za chwilę szedł do szkoły, tam gdzie świeci słońce. Cała droga usłoneczniona, czy to znaczy, że mogę iść bez kurtki, skoro tam gdzie słońce jest aż dwadzieścia stopni. No co ty... wołamy wszyscy, ...to nawet nie przedwiośnie, całkiem oszalałeś, przecież zmarzłbyś tam zupełnie. Trzeba się ubrać tak jak do tej pory*. I pytanie w ciszę: *A dlaczego ...dlaczego?*

Do kogo jest to pytanie, do nas rodziców, do dorosłych... takich to niby mądrych ludzi. Jak dziecku odpowiedzieć? Zaczynamy się z mężem zastanawiać jak to wyjaśnić i dochodzimy do przekonania, że sami sobie bardzo radzimy. Nie mamy pojęcia jak to jest właściwie. Wiemy, czujemy i to nam wystarcza, nie mamy potrzeby pytać dlaczego. To znaczy nie mieliśmy takiej potrzeby do dziś. A teraz mnożą się nasze pytania. Z jednej strony budynku gorąco, z drugiej zimno, żartujemy: *to dlaczego to powietrze się nie miesza na tyle, aby wypadła jakaś średnia?* Mąż wyjaśnia: *Termometr absorbuje ciepło z padających na niego promieni słonecznych...*, a ja na to, że *przecież inne przedmioty też tak się zachowują i w takim razie wiele z nich powinno nagrzewać się bardzo silnie od promieni. Człowiek, gdy wystawi zimną twarz do słońca to czuje gorąco, a przecież nigdy nie jest tak jak latem i jego ciało nie rozgrzewa się do tego stopnia, aby mógł się rozebrać*. I tak gadamy te nasze kolejne „niekompetencje”, dwoje wykształconych ludzi. Dobrze, że czas nie pozwala na rozwinięcie teraz tematu, bo zabrnęlibyśmy w ślepią uliczkę i dzieciakowi nieźle namieszali.

¹ E. Arciszewska, *Mały, wielki świat przyrody*, [w:] „Edukacja i Dialog”, nr 10, STO Warszawa 1999, s.45-48.

I nawet trochę wstyd o tym teraz pisać, wstyd się przyznać, że nie wiemy, nie umiemy, nie rozumiemy. *A tacy to niby mądrzy, tacy inteligentni, po tylu szkołach, egzaminach..., umysły na zamówienie społeczne, a nie na indywidualne, dziecięce, tu i teraz.*

Adam już dawno pobiegł do szkoły, w kurtce, czapce i zimowych butach, a my jeszcze o tej temperaturze..., aż do wyjścia z domu. Praktycznie do niczego nie doszliśmy.

Reszta rozmowy, po powrocie z pracy. Dzieciak już zatopiony w komputerze, ledwo od czasu do czasu zerka na nas, zdziwiony coś my to mamy za problem. On już dawno „koło niego przeszedł”. Przecież, nie pierwszy to raz, nie otrzymał odpowiedzi na zadane przez siebie pytanie, nie docieka więc, ma inne sprawy. Myśli sobie „oni to mają zdrowie...” i nie chce już słuchać wyjaśnień, sam sobie coś pewnie wyjaśnił, albo zostawił „na później”. Tym bardziej, że rodzice nie mówią już żadnych zrozumiałych dla niego słów. Oni muszą najpierw sami siebie nauczyć, aby móc potem podjąć próbę prostego tłumaczenia.

A my dalej, *...że kąt padania promieni słonecznych..., że światło odbite, ...że Ziemia się nagrzewa, że temperatura powietrza zależy od tego ciepła, które oddaje Ziemia. I że przecież powietrze jest słabym przewodnikiem ciepła.* Zaglądamy do książek, szukamy, drążymy. Jakby, już zaczynamy być nieco mądrzejsi, ale niepewni czy dobrze myślimy, czy ten problem rozwiązujemy prawidłowo. Trochę tak jak małe dzieci, które wobec ogromu zjawisk poszukiwać i wybierać muszą najpierw choć przynajmniej niewiadome, żeby móc potem skorzystać z możliwych danych oraz postawić jakieś hipotezy.

A ja sobie myślę, że to nad czym się głowię, to przecież właśnie zagadnienia przyrodnicze. Ja się nigdy nie uczyłam w szkole w taki sposób, aby zjawiska rozumieć i umiejscawiać je w praktycznym, codziennym kontekście. Skąd zatem mam posiadać umiejętność przekładania wiedzy, powiedzmy „wербalno-ekspozycyjnej” na życie. Zresztą ja już tamtej wiedzy, jak się właśnie okazało, nie posiadam. Ona uleciała, przepadła bezpowrotnie. I nic nie pomógł spiralny układ treści *Panie Bruner*², bo to nie o układ chodzi, ale o to, że do niczego nie dochodziłam sama, wszystko było podane jak na tacy, a następnie wyegzekwowane przez nauczycieli lub rodziców. I pewnie chodzi też o to, że pytać przestałam znacznie wcześniej niż mój syn. Za to bardzo pięknie odpowiadałam na różne pytania zadawane mi przez dorosłych. Wszystko było tak jak tego oczekiwali.

Całą historię z termometrem opowiedziałam też po kilku dniach (widać nie dawała mi spokoju) w wielce szacownym, edukacyjnym gronie, ot tak, na marginesie. Jeden z obecnych profesorów natychmiast po obradach zaoferował wyjaśnienie. Zaczął od słów: *To przecież proste, słońce świeci na jeden termometr, a na drugi nie – i stąd różnica.* Czyżby profesor nie zrozumiał naszego problemu. Przecież kwestia różnicy temperatur na termometrach była dla dziecka wystarczająco jasna, natomiast wyjaśnienia wymagało zagadnienie: *dlaczego tam, gdzie intensywnie świeci słońce*

² J. S. Bruner – wybitny profesor amerykański zajmujący się między innymi procesami poznawczymi i procesem uczenia się, wskazywał korzyści jakie dawać może spiralny układ treści kształcenia, [w:] *Poza dostarczone informacje, Studia z psychologii poznawania*, PWN, Warszawa 1978.

(np. na szkolnej drodze) temperatura pozostaje nadal niewysoka, dlatego powietrze nie nagrzewa się?

Myśmy z mężem pojeśli i podjęli próbę wytłumaczenia. Okazało się to niezwykle trudne wobec nader skromnych instrumentów, pozwalających przełożyć tę wiedzę na poziom dziecięcego rozumowania. Wystąpiła też inna przeszkoda, dawno nasz syn skierował swą uwagę gdzie indziej. To nie był już jego problem, a jedynie nasz. Pewnie warto było drażnić, dociekać, tylko szkoda, że spóźniliśmy się z „oddaniem naszej nowej wiedzy w dobre ręce”.

I w takich właśnie chwilach mam absolutne przekonanie, że wprowadzenie do szkół nowego przedmiotu „przyroda” było pomysłem trafionym i absolutnie koniecznym. Mimo oporów nauczycieli, mimo nawet tego, że wielu z nich jeszcze przez lata całe będzie pracować tak jak przedtem. Oznaczać to może jedynie tyle, że gorzej niż było nie będzie.

W moim przekonaniu pojawienie się tego przedmiotu daje szansę, już na dziś, wielu dzieciom a pozostałym w przyszłości. Jest to też wyzwanie dla nauczycieli, którzy odważnie zrywają ze starym stylem swej pracy, którzy zaczynają badać świat wraz z dziećmi. A że takich jest bez liku, wiem z drwiących opinii tych, którzy pozostali „w starym” i mówią: *u nas wielu, tych no... przyrodników, oni nie robią nic, nie uczą wcale... oni się jedynie bawią. Z tego to już nic nie będzie. Żadnej wiedzy...*

Bawcie się kochani, może wasi uczniowie coś przeżyją, może czymś się zadziwią, a może czasem coś ich rozśmieszy. To z pewnością korzystnie wpłynie na bycie „za pan brat” z przyrodą. Osiągnięcie takiego celu, to nie byle co.

Kiedyś zapytana o cele (teraz powstał specjalny język, specjalne, nowe procedury zapisu) odpowiedziałam w ten sposób: „Zawsze na nas wymuszali jakieś formy dokonywania zapisu celów..., no to pisałam, czasem dopiero po zajęciach to robiłam, czyli przystosowywałam zapisy do oczekiwań „władzy”. Dziś mogę się do tego głośno przyznać, wtedy to było nie do pomyślenia. I dziś też zastanawiam się nad tym jak ja pracowałam, czyżbym nie zakładała żadnych celów. No nie, to się po prostu nie daje zrobić, cel jest, a jakże. Nawet wiem jaki był u mnie pierwszorzędny zaw sze: *Żeby dzieciaki chciały chcieć, tylko tyle, ani mniej ani więcej.*

I takiego celu nie da się zrealizować w taki zwyczajny sposób, z „kawałkami” książki i nudy, z „kawałkami” eksponatów, do których dzieci wyciągają ręce, ale niestety muszą czekać spokojnie na swoją kolej, bo eksponatów zbyt mało, a ruszyć się od stolika nie można, gdyż to może zdezorganizować pracę.

Taki cel daje się zrealizować wyłącznie tajemnymi sposobami, które najlepiej znają nauczyciele, które wy znacie. I w nich właśnie zawierają się tajemnice „niewidzialnej pedagogii”³, tzn. takiej, w której znika z oczu dziecka dydaktyka. Ona chowa się w zabawie, w działaniu lub w rodzącej się pasji poznawania świata przyrody, poznawania świata w ogóle.

³ B. Bernstein, *Odtwarzanie kultury*, PIW, Warszawa 1990.